

Bajtle Bercika

Dawno, dawno temu, na naszej śląskiej ziemi mieszkał sobie Bercik. Bercik był górnikiem, fach swój odziedziczył po ojcu, a ten po swoim ojcu. Krótko mówiąc, jak Bercik umiał daleko sięgnąć pamięcią, wszyscy mężczyźni w jego *familiji robili na grubie*. Taka była na Śląsku tradycja: mężczyzna pracował na kopalni, a kobieta dbała o dom i *bajtle*.

Dom Bercika nie był jednak całkiem tradycyjny. Miał Bercik bowiem dwoje małych dzieci, pięcioletnią Agnysie i czteroletniego Ecika, ale bajtle *nie mioły matulki*. Niestety, podczas porodu, gdy na świat przychodził tak bardzo oczekiwany przez Bercika syn, jego ukochana żona zmarła. Bercikowi było bardzo ciężko. Cóż jednak było robić?! Zakasał Bercik rękawy i robił wszystko, aby być dla *bajtli i matulką i tatulkiem*. Co rano, skoro świt, Bercik wstawał i *rychtował bajtlom śniodanie*. Przed wyjściem na *szychta*, patrzył na te śpiące buzie przytulonych do siebie *bombli*, kreślił im krzyżyk na czole i z ciężkim sercem *szoł na gruba*. Przez całą *sychte rzykał* pod nosem, co by nic się nie stało jego *bajtlom*. Nie miał ich z kim zostawić, z pracy też nie mógł zrezygnować. Miał ino wielką nadzieję, że ich *matulka* tam z nieba się nimi opiekuje i ma na nich baczenie.

Musiało tak być, bo gdy wieczorem zmęczony po robocie wracał do *chołpy*, zastawał wysprzątane mieszkanie, na stole ciepły obiad, a dzieci uśmiechnięte. Przez dłuższy czas się nad tym nie zastanawiał. Cieszył się, że sobie tak dobrze radzą. Czym jednak dłużej to trwało, zaczęły nachodzić Bercika wątpliwości. Może to jednak nie ich *matulka* się nimi opiekuje, a ich *chołpe dziyinnie nachodzi kaj jaki diobot!* Uprosił więc Bercik u sztygara dzień wolnego, aby raz na zawsze wyjaśnić sprawę.

Rano jak zwykle Bercik wstał, i nie chcąc dać po sobie poznać, jakie ma plany, jak zwykle wyszedł z *chołpy* i udał, że idzie do roboty. Bał się, że gdy *diasek* się zorientuje, co on zamierza, dzisiaj się nie pojawi. Wyszedł więc z *chołpy*, trzasnął drzwiami i mocno tupiąc, udał się w kierunku kopalni. Ledwo jednak zaszedł *za winkiel*, skradając się, wrócił pod *chołpe*. Podszedł pod okno i *zaczot filować*. Cóż za *dziwy* zobaczył w swej izbie!! Aż za *gowe* *zaczot się czimać !!*

Co za heca, spod tóżka wypetzał jakiś mały człowieczek. Miał może ze trzydzieści

centymetrów wzrostu, choć kilka dodawała mu stercząca na głowie, bajeczna czerwona czapka. Miał długą siwą brodę a ubrany był cały na biało. Bercik nie zdążył się na jednego napatrzeć, jak zza kredensu wyszedł inny człowieczek, następny zza szafy, a jeszcze inny ze skrzyni. Nim się obejrzał, po jego domu chodziło co najmniej dziesięć takich małych istotek. W sumie to trudno było mu zliczyć, po pierwsze dlatego, że z liczeniem był trochę na bakier, a po drugie dlatego, ludki były tak ruchliwe, że naprawdę trudno było się zorientować, który został już porachowany, a który jeszcze nie. Bercik był pewien, że nawet jego *szytygor* miałby z tym nie lada kłopot. A trzeba wiedzieć, że *szytygor* był wielce wykształconym człowiekiem, Bercik był pewien, że rachować to on *umioł* co najmniej do dwudziestu.

Wiedział natomiast Bercik, czym, a może, kim oni byli. Znał ich z wielu opowieści, które opowiadała mu matka, gdy był jeszcze małym chłopcem. Były to skrzatki. Matka mu mówiła, że zamieszkują one domy i pomagają tam przy licznych pracach. Strzegą ogniska domowego, opiekują się *bajtlami*. Do tej pory jednak był przekonany, że to tylko bajki dla małych dzieci, a teraz widział, jak one chodzą po jego domu.

Jak to możliwe? Co one tu robią? Matka mu mówiła, że skrzaty pojawiają się tylko w szczęśliwych domach, a czy jego dom jest szczęśliwy? Czy jego *bajtle* są szczęśliwe? Tymczasem skrzatki nie próżnowały. Jeden *kusikiem* już budził jego *bajtle*. Drugi już łapał za miotłę i dalej zamiatać izbę, trzeci rozpałał w piecu, co by dzieci nie pomarły. Teraz dopiero Bercik zrozumiał, co tu takiego się dzieje. To jest jednak tak, jak myślał. To jego ukochana żona opiekuje się ich *bomblami*, co by on spokojnie mógł pracować. Innego wytłumaczenia nie ma. Skąd wzięłyby się w jego skromnych progach te dobre istoty. Na pewno jego ukochana je tu wysłała, aby opiekowały się Agnysią i Ecikiem. Stąd jego dzieci takie miały uśmiechnięte buźki, choć chowały się bez matki. One im ją zastępują.

Bercik tak się wzruszył, że aż zaczął po cichu *ślimtać*. Był taki szczęśliwy, że nawet nie poczuł jak czas mija i ledwo co, a by przegapił porę powrotu domu. Wyprostował się Bercik, wygładził *arbajt*, wytarł twarz i wlaź do chałupy. Rozejrzał się po kątach, a tu ani widu ani słychu skrzatków, za to skutki ich działalności było widać na każdym kroku. Okna czyste, a w nich śnieżnobiałe wykrochmalone *gardinki*, podłoga wyszorowana wodą z mydłem aż lśni. Na stole *talyrz*, a w nim gorące *kartofle z pyrkami*. W piecu tańczy ogień, a na zapiecku łąsi się

kocur. A *bajtle? Bajtle* jak zawsze czekają uśmiechnięte, siedząc na *pryku*. *Agnysia* rumiana, uśmiechnięta z pięknie zaplecionym warkoczem z czerwoną *szlajfkom*, a *Ecik* z zadartym piegowatym noskiem.

Złapał za serce *Bercika* ten widok i zamiast za *tobiod* się zabrać, podszedł do *pryka* i wziął *dziecka* na kolana. Był taki szczęśliwy! Jeszcze niedawno bał się o siebie i o dzieci. Nie wiedział, jak sobie dadzą radę. Jeszcze rano przecież zamartwiał się, był pewien, że *kaj jaki diosi tu dioboł*, a to skrzatki, te dobre skrzatki.

Zganił się sam w myśli, za to, że już stracił nadzieję i że matce nie dawał wiary, gdy ta mu *prawila* o skrzatkach.

Ot, trzeba słuchać starszych.

Koniec